



WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 5 (331)
4 lutego 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Fakty i oceny

W roku 1965 odbyła się pierwsza ogólnopolska konferencja etyków w Nieborowie. W r. 1966 ukazał się I numer rocznika „Etyka”, wydany w nakładzie 1000 egzemplarzy, obejmujący 370 stron druku. Oto pierwsze zewnętrzne przejawy powolnego, lecz stalego wzrostu zainteresowania etyczną problematyką w naszym kraju. Poczynając od roku 1955, systematycznie wzrasta zarówno kadra ludzi zajmujących się naukowo problematyką etyczną, jak i ilość i jakość publikacji z tego zakresu. Po pierwszej konferencji etycznej odbyły się dwie następne, w latach 1966 i 1967. Po pierwszym numerze „Etyki” ukazał się w roku ubiegłym drugi numer tego pisma, zaś niebawem ukaże się trzeci. Polscy etycy stali się w związku z tym pożądanymi partnerami w kontaktach międzynarodowych, inicjując różnego rodzaju spotkania, konferencje i wymianę pracowników naukowych, szczególnie ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi.

Czas przemian

Gustaw Radbruch, znany niemiecki teoretyk prawa, swego czasu sformułował myśl przewrotną. Mianowicie dowodził on, iż istnieje bezpośrednia zależność między stanem moralnym społeczeństwa a poziomem teorii etycznej. Zależność ta miałaby polegać na tym, iż im niższa moralność, tym wyższy poziom teorii etycznej i odwrotnie. Aforyzm jest chwytliwy, jednakże jak wszelkie aforyzmy nie może funkcjonować jako element zastępujący faktyczną diagnozę określonych sytuacji. Jest rzeczą niewątpliwą, iż rozwój polskiej etyki nie pozostaje bez związku z moralną sytuacją naszego społeczeństwa. Jednakże związek ten ma zupełnie inny charakter niżby to wynikało z przytoczonego powiedzenia Gustawa Radbrucha. Warto sformułować tezę, iż w sytuacji, w której moralność jest względnie ustabilizowana, w której nie ma konfliktów między wychowaniem w domu, wychowaniem w szkole i w grupach rówieśniczych, brak jest intensywnych bodźców do rozwoju etyki. W sytuacji takiej bowiem kolejne pokolenia powielają niejako stereotypy wartościujące, przyjmują gotowe już systemy norm i wzorów postępowania. Zupełnie inaczej rzecz się ma w okresie radykalnych przemian społecznych, które obejmują swym zasięgiem również i moralność. W takich sytuacjach powstają problemy nie tylko, iak należy postąpić w określonej sytuacji, lecz również, jaki system moralny przyjąć jako własny.

W naszym kraju niewątpliwie mamy do czynienia z tą drugą sytuacją. Z jednej bowiem strony przemiany socjalistyczne stwarzają w coraz to większym stopniu podstawę kształtowania się socjalistycznej moralności, z

drugiej jednak, na mocy tradycji utrzymują się jeszcze stare systemy moralne związane z formacją kapitalistyczną. Przejawia się to również w tym, co moglibyśmy nazwać walką ideologiczną w dziedzinie etyki. Wszak w prezentowaniu systemu norm i wzorów postępowania mamy do czynienia ze swoistą „konkurencją” prze-

O ETYKĘ W POLSCE

de wszystkim ze strony zwolenników etyki katolickiej. Propagowanie zasad socjalistycznej moralności nie może odbywać się bez formułowania zarzutów pod adresem tej etyki. To zaś z kolei zmusza do dogłębnej i rzetelnej analizy systemu etyki katolickiej.

Z drugiej strony społeczeństwo nasze, a w szczególności młodzież, podatne jest na wpływy różnego rodzaju systemów etycznych pozasocjalistycznych, które bezpośrednio czy pośrednio prezentowane są w literaturze pięknej, niektórych filmach czy też przekładanych i wydawanych u nas tekstów filozoficznych i etycznych. Trzeba więc również umieć ustosunkować się wobec tych systemów etycznych, a co za tym idzie, pilnie je studiować i poddawać analizom.

I wreszcie warto odnotować, iż współcześnie w licznych krajach bada się bardzo subtelne i skomplikowane kwestie teoretyczne, związane z możliwością rozstrzygnięcia sporów etycznych, przytaczania argumentów na rzecz określonego systemu, znaczenia podstawowych kategorii etycznych itp. Etyka marksizmu w Polsce musi również brać pod uwagę całą tę problematykę, jeśli ma również od strony metodologicznej być etyką dwudziestowieczną w pełnym tego słowa rozumieniu.

Chcąc zajmować się sprawami związanymi bezpośrednio ze współczesnością, trzeba mieć to, co nazywa się zapleczem metodologicznym, stanowiskiem wobec innych, konkurencyjnych systemów etycznych oraz pełną samowiedzę co do tego, co w zakresie etyki można udowodnić, a czego udowodnić niepodobna.

Teoria i praktyka

Zakres zainteresowań polskich etyków nie ogranicza się bynajmniej do kwestii wyżej wymienionych. Jednym z najbardziej poważnych i realizowanych zadań jest badanie treści i formy autentycznej etyki marksizmu, jej hierarchii wartości, ideału człowieka i stosunków międzyludzkich. Realizacja tego zadania jest warunkiem niezbędnym ustalenia potocznych już wartościowań socjalistycznej moralności. W tym zakresie opracowane zostały monografie dotyczące zarówno tradycji etyki marksizmu, jak i bezpośrednio hierarchii wartości tej etyki.

I wreszcie prowadzone są prace badawcze związane już w sposób bezpośredni z moralnymi problemami naszego społeczeństwa. Trzecia konferencja etyków polskich, odbyta w 1967 roku, koncentrowała się wokół ogólnych i szczegółowych kwestii etyk zawodowych. Rozważano więc przede wszystkim kwestie stosunku zachodzącego między ogólnymi zasadami moralności socjalistycznej a szczegółowymi zasadami poszczególnych etyk zawodowych. Rozpatrywano więc jako egzemplifikację ogólnych twierdzeń etykę zawodu nauczycielskiego, deontologię lekarską, etyczne zasady zawodów prawniczych. W ślad za teoretycznymi rozważaniami idą praktyczne opracowania poszczególnych kodeksów etyk zawodowych. W tym właśnie zagadnieniu wychodzi na jaw ścisły związek zachodzący między pozornie tylko oderwanymi od życia, abstrakcyjnymi i akademickimi rozważaniami, a zupełnie praktycznymi problemami i konfliktami moralnymi.

Nie sposób również nie wspomnieć o licznych pracach związanych z dyscypliną, którą określa się mianem filozoficznej antropologii lub filozofii człowieka. W tym zakresie staramy się zapełnić lukę, jaka w rozważaniach etycznych do roku 1955 dawała o sobie znać. Ludzie częstokroć stoją nie tyle przed problemem moralnego wyboru, ile przed ogólnymi pytaniami dotyczącymi miejsca i roli człowieka we współczesnym świecie, sensu życia, kształtu szczęścia, itd., itp. Są to pytania odwieczne, lecz odpowiedź na nie musi zawsze mieć charakter konkretny, związany z określoną epoką, jej problemami ekonomiczno - społecznymi, cywilizacyjnymi i kulturowymi. System etyczny pozbawiony rozważań z tego zakresu jest zazwyczaj systemem niepełnym. Dlatego też rozwój owej problematyki na gruncie współczesnej etyki marksizmu jest jej niezbędnym i pożytecznym uzupełnieniem.

Jeżeli więc zastanawiamy się ogólnie nad tym, co jest ważne i specyficzne dla rozważań etycznych prowadzonych obecnie w naszym kraju, to możemy stwierdzić, iż owym czynnikiem wiodącym jest ścisły związek z przekształcaniami naszego społeczeństwa w kierunku socjalistycznym.

HENRYK JANKOWSKI



FOT. J. MENDYCHOWSKI

Piotr Żbikowski

Odyseusz

*Płynąc ciągle za horyzont
A Itaka płowieje w słońcu
Tęsknotę jak żagiel napinać
I wspomnienia zatracać w obcych księżycach*

*Uczepiona o skał wybrzeża
Łódź dyszy przypiływem i wiatrem
Spłoszony kontynent drży
Pod bosą stopą zdobywcy*

*Atena w każdym porcie miała inny kolor skóry
Śmieszne są papiloty Penelopy
Czerwonym kurzem pod Troją
Spłonęły Ilion i pamięć*

*Kotwice zerwać na zawsze
I o wiatry przeciwne się modlić
Z białą falą wyprzedzać czas
Słońce budzić i upiększać nadzieję*

*Za horyzont ciągle płynąć
I nie wracać jak strzala z łuku
W słonym wichrze utopić strach
Cień swój ploszyć i dopędzać legendę*

ŚWIĘTEGO SPOKOJU

spóźnię się na autobus... Ponieważ „Widnokrąg” czyta też i młodzież, nie powiem przeto, jak nazwałabym tę robotę i jej wykonawcę. Notabene, już na drugi dzień trzeba było szukać fachowca, bo dalej się lało, tyle, że musiał przyjść ze świdem, żeby odbijać zaschniętą pałubę gipsową.

Ten fragment z własnych autopsji, powie ktoś, powinien znaleźć się w poprzednim moim artykule, gdzie było o fachowości i pracy. Lecz wyprowadzę go z błędu: tu nie tylko o fachowości idzie, tu idzie o coś więcej — o tę zbiorową akceptację lenistwa i niemoralnej pracy. O jeszcze jedną formę współżycia, pozornie niezakłócającego żadnemu z pracujących w tym gromadnym stadle budowniczych, atmosfery beztróskiej letniej przygody, za którą płacą. Kto płaci — naturalnie miłośnicy „oni”; w rzeczywistości — my, a więc i ja, a ja bynajmniej nie mam ochoty finansować nierobów.

Zbudowano mi mieszkanie: państwo udzieliło mi długoterminowego kredytu w wysokości kilkudziesięciu tysięcy złotych, które splacam; ja sama też parę dziesiątek tysięcy wyłożyłam na wstępie jako warunek sine qua non przyszłego zamieszkania. Mieszkanie po pół roku remontowano. Rozeschły się, rozklekotały deski parkietu; trzeba je było niemal wszystkie, w pięciu pomieszczeniach zrywać, przesuwać, sklepywać na nowo. Po pół roku — powtarzam. Nazywa się ten proceder „w ramach usuwanych usterek”. Nawet ładnie. W tychże ramach chciałam zapobiec wypadnięciu wielkiego, na całą ścianę, okniska, które jakiś fachowiec dopasowywał chyba pod ćwiartkę — papieru, skwapliwie podsuwanego mi do podpisania — nie podpisałam; wysoka komisja kiwała głowami nad moją nielojalnością; kiwając tak z niesmakiem — wyszła. Chałupę dawno przekazano do użytku — cóż tam bowiem znaczyl mój podpis, a raczej jego brak, kiedy terminy nagliły! I w ten sposób pięć lat borykam się z oknem, wydając na fachowców — dopasowywaczy, już prywatnie sumy, za które można byłoby bez przesady ze trzy okna całkiem nowe zamontować choćby w szkole czynnem czytelników „Nowin” wznoszonej. Tylko dlatego, podejrzewam, że kiedyś jakiś leniwy drab wolal ujeżdżać nowozakupione konie mechaniczne i oszołomiony nowym nabytkiem przeoczył, że rama jest o parę centymetrów za krótka. I jeszcze dlatego, że presja mojego nie, które w końcu składa się na zbiorową opinię publiczną, zginęła po drodze, przywalona mitycznymi wartościami nadrzędnymi. Bardzo nie lubię, kiedy moje nie wypowiedziane z pełną świadomością człowieka odpowiedzialnego za swoje decyzje, ginie po drodze. Kiedy ktoś, jednak mniej odpowiedzialny, lekceważy sobie, wszelkie przejawy rozsądnego protestu. Bo podejrzewam wtedy, że solidaryzuje się z lekcesobieważącymi społecznym pieniądź i dobre obyczaje współżycia.

Każdy z nas ma wór z przykładami, własny i pełen. Rozwiązujemy go przeważnie w prywatnym gronie i pomstujemy przeważnie też prywatnie. Zdaje mi się, że nie jest to jednak najzdrowsza forma protestu; budzi bowiem samo rozgoryczenie, niczego nie likwidując. Jesteśmy zdani na złote rączki w wielu dziedzinach naszego życia; czy ktoś jednak zastanawiał się nad faktami, które rodzą te złote rączki? To nie tylko niefachowość; to przede wszystkim atmosfera pobłażania dla niefachowości. A to są dwie na pewno różne sprawy, z których ta druga należy tylko i wyłącznie do sfery obyczajowości.

Wśród leniów en masse przeze mnie oglądanych, jest na pewno duża część ludzi z gruntu uczciwych i dobrze znających swój zawód. Obezwładnia ich jednak atmosfera, w jakiej pracują. Ileż to razy słyszy się pogardliwe: „ale się idiota zapalił, niech tylko stłucze d...”, to usiadzie”. Siadają. Po co się narażać. Sytuacja się stabilizuje negatywnie, a zbiorowość powoli decyduje się na akceptację kretyna ze stłuczonym tyłkiem, jako faceta z doświadczeniem zawodowym.

I chodzą sobie te życiowe ofiary spokoju za wszelką cenę, nie umiające swojego „nie” z godnością egzekwować, powiększając szeregi tumiwisistów czy konformistów, czy jak tam jeszcze ich się nazwie.

Rozumiem młodego inżyniera tuż po studiach, kiedy ulega presji doświadczonych zespołu i przystosowuje nabytą teorię do świeżo poznawanej praktyki, miodąc się w duchu o harmonię współżycia, nawet za cenę niezbyt moralnych ustępstw; nie rozumiem np. młodego nauczyciela, który pełen zapału po studiach, wkracza niczym siłacz do pierwszej szkoły w życiu, z głową nabita pomysłami i w trakcie pracy rozmięka te pomysły za cenę świętego spokoju. Są bowiem zawody i to właśnie te, gdzie humanistyka ma wiele do powiedzenia, w których każda rezygnacja jest szkodą wielokrotną i w których wysokie morale człowieka pracującego jest jednym z elementów samego zawodu.

Święty spokój, wygoda, dopasowanie do środowiska, zgoda na istniejący stan rzeczy, nawet wtedy, gdy wszystko w człowieku protestuje — to nowe fetysze.

Kiedy oburzam się w kolejce na ekspedientkę nieuprzejmie mnie obsługującą i zajętą grzebanieniem w uchu, następną panią z rzędu robi pod moim adresem znak na czole i mruży, żeby skończyć ten harmider, bo i tak szkoda czasu. Nie szkoda; tyle, że ona chce mieć święty spokój za cenę ordynarnej obsługi, a ja go mieć nie chcę. Ponadto — ja rozumiem tę panią, przyzwyczajoną do tysiąca podobnych sytuacji i zmęczoną nimi. Do ataku zaś, nawet w imię słusznych żądań, nie wolno być zmęczonym; ponieważ i ja czasem bywam, przeto i mnie trafia się jeść szynkę wrzuconą do papieru brudnymi paluchami i jedząc ten drogi specjał, tłucze mnie oburzenie na siebie, że pozwoliłam, by właśnie tak mi go zważono.

Ulegamy psychozie zmęczenia i to jest ta prywatna akceptacja każdego z nas na brakoróbstwa i nieudolności.

Spóźnia się autobus — cóż na to poradzisz, nawet jeśli się dowiesz, że kierowca wstąpił po drodze odwiedzić rodzinę? Poppnie cię chuligan — samotność twoja jest absolutna — ludzie chcą mieć święty spokój. I najczęściej takie publiczne wystąpienie w samotności i pręciw jest aktem desperackiej odwagi, który jeśli się uda, przysporzy ci zwolenników — jeśli przegrasz, narazi cię nie tylko na szkodę, ale i kpinę otoczenia. To są zresztą te wydarzenia, które dzieją się w tzw. szerokiej społeczności, na ulicy, w sklepie, w autobusie.

A w pracy, w tej społeczności wąskiej, zamkniętej, obwarowanej przepisami? Bywa podobnie. Jeśli samotnie skrytykujesz coś, co pięciu uznało za dobre, choć to bynajmniej dobre nie jest — zakrzyczą w imię twojej społeczności. Działa magia zbiorowej pewności. Jeśli masz odwagę i dalej próbujesz obalać sady pięciu — to ani chybi, wpadniesz w obsesję, w brzydkie popoliste krytykanctwo i też twój głos utonie w negatywnych opiniach o tobie, które przy okazji całkowicie przysłonią problem, o jaki ci chodziło.

Był polski film, o ile dobrze pamiętam, zatytułowany „Wilczy bilet”, artystycznie bardzo niedoskonały, społecznie nadzwyczaj ważny. Bohater miał zwyczaj mówić prawdę. Musiał zwyciężyć, bo prawdy mają to do siebie, że same się bronią. Zwyciężył za cenę zszarpanej egzystencji, syna w szpitalu, braku służbowego mieszkania i jeszcze paru drobniagów, które składają się na całość życia. Zbyt często jawią się nam takie sytuacje przed oczami i chyba stąd też bierze się fetyszyzacja świętego spokoju, tzw. zdrowego rozsądku. Rzecz w tym jednak, że człowiek zawsze żyje z ludźmi i musi akceptować świat całkowicie: i w tym co moralne na nim, i w tym, co niemoralne. Jeśli ogranicza się tylko do biernej akceptacji — jest jednostką społeczną, konformistycznie ustawioną wobec rzeczywistości.

Ważna więc jest ta druga forma akceptacji — czynna, usiłująca szukać dróg w zmianach na lepsze, w ograniczaniu działań szkodliwych, w likwidacji tchórzostwa i lenistwa, z których pierwsze buduje klimat pobłażania, nieuczciwości — drugie — kult niefachowości.

I jeśli ktoś by widział jakieś związki między tym, co dziś piszę a tym, co napisałam przed tygodniem („Praca”) — to dodam, że nie widzę pracy sensownej bez zdrowej atmosfery i zdrowych stosunków międzyludzkich, że łączą się te dwa zagadnienia w całość, jak dobrze przyrządzone menu, które jest podstawą naszego zdrowia fizycznego oraz naszej psychiki.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



E. KIEFERLING — Portret „K” — olej

3 wystawy w Domu Sztuki

W Domu Sztuki w Rzeszowie czynne są obecnie 3 wystawy. Wystawa pokonkursowa z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 25-lecia powstania PPR. Wystawa malarstwa, grafiki, rzeźby Tarnowskiego Oddziału ZPAP oraz wystawa malarstwa Edwarda Kieferlinga.

Jury konkursu z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i 25-lecia PPR pod przewodnictwem Józefa Żabkowskiego — prezesa ZPAP Kraków w dziale malarstwa nie przyznało I nagrody. Drugą nagrodę otrzymała praca pt. „Bukiet” opatrzona godłem „Przeborst”, autor Stanisław Kucia oraz praca bez tytułu godło „45”, autor Tadeusz Kozioł. Trzy III nagrody otrzymali Zygunt Czyż, Edward Kieferling i Zdzisław Ostrowski. W dziale grafiki I nagrodę otrzymała praca pt. „Wspomnienia” godło „Auro-ra”, autor Zygunt Czyż. Drugiej nagrody nie przyznano. Trzeciej nagrody otrzymali: Zygunt Czyż, Barbara Smoczeńska i Adolf Jakubowicz. Wyróżnienie — Józef Gazda. Cztery wyróżnienia: Barbara Smoczeńska. W dziale rzeźby I i II nagrody nie przyznano. Trzecią nagrodę otrzymała praca opatrzona godłem „Iwan”. Wyróżnienie — Piotr Kida.

Malarstwo, grafikę i rzeźbę tarnowskiego Oddziału ZPAP reprezentują prace 19 artystów.

UWAGA!
ARTYŚCI PLASTYCZY
WOJ. RZESZOWSKIEGO!

Przypominamy, że termin składania prac na „Najlepszy rysunek” i grafikę miesiąca upływa 10 II 1968 r.



ZYGMUNT CZYŻ — Leningradskie noce — olej III nagroda



W sanockim muzeum

FOT. M. KOPEĆ

Punkt przyjęć
w komizm

Świeczka i ogarek

Czynny tylko
w soboty i niedziele

MOTTO:

„Czuć pismo nosem”

Nieszczęście

Prezes Stęga otrzymał pismo urzędowe od nadrzędnych władz. Pismo czuć było anyżkiem. Prezes rozciął kopertę. Ten i ów wznosił ręce do braw. Prezes rzucił okiem na pismo i mieląc przekleństwo pod nosem zmiął je i cisnął do kosza. Twarz miał dziwnie skrzywioną. Nie lubi anyżku, czy co?

Ledwie wyszedł z pokoju, rzucili się w stronę kosza. Bimbalski jak zwykle był pierwszy — od dzisiaj — oznajmił możemy prezesowi mówić Stążka.

Po instytucji gruchnęła wieść — anyżek nieszczęście!

Jacuś

Jacuś usiadł nad zadaniem domowym i jak nigdy z dziecinnej twarzyczki bije radość. Odmieniło się dziecko, czy co?

...Ale dlaczego z kalamarza zalatuje zapach eksportowego piwa!

Pismo

Kierownik pyta pracownika:

— Panie Kowalski, co nowego w dzisiejszej poczcie?

— Jest do pana kierownika pismo z centrali, niby zalatuje perfumami, ale coś tu śmierdzi!

Pachnący atrament

Anons w gazecie: „Pachnący atrament już na rynku!” nic nie wyjaśnia czytelnikom.

Ile tych zapachów, jakie, czy trwałe? Opinia społeczna ma prawo wiedzieć, dlaczego pachnący?

Czy nie należałoby pomyśleć o atramentach cuchnącym, bardzo przydatnym

przy pisaniu donosów. A zresztą dlaczego biurokratom ma pachnąć pod nosem?

Sprawa pachnącego atramentu powinna być poddana pod ogólnokrajową dyskusję.

Czytelnik

Balwanek (Historyjka z morałem)

Spadł pierwszy śnieg i skrył śmieci oraz poniektóre brudy. Dzieci jak dzieci ulepiły balwanek na obraz i podobieństwo człowieka.

— I co pani na to, pani Dominikowa? Człowiek sterany latami, przed wojną nie pięściły mnie wichry historii — wzdychał dozorca bloku pod numerem 13 — a dzisiaj smarkacze natrzęsają się z człowieka. To niby ja jestem tym balwanem z miotłą! Nie ma dziś szacunku dla starszych, oj nie!

Na piątze bloku pod numerem 13 psioczył naczelnik Błat:

— Życie narażałem, nierogaciznę antydeglomerowałem w czasie wojny dla głodnego kraju. Już ja im ulepię brzuch... Będą mnie ośmieszać szczeniaki!

Po godzinach gastronomicznych wracał do domu pod numer 13 mieszkający na III piętze niejaki Grzdyl. Gdy dojrzał balwanek w świetle jarzeniówek dostał białej gorączki.

— Zatrącone obwiesie. Człowiek nie śpi po nocach z obywatelskiego obowiązku. Nie oblejesz, nie zalatwisz sprawy dla kochanej ojczyzny. Już ja wam pokażę... czerwony nos z marchwi!

Oburzenie na niegrzeczne dzieci było tak powszechne, że komitet blokowy zwołał zebranie lokatorów. Długą dyskusję uciął ktoś oświadczeniem:

— Wicherek zapowiada w nocy ocieplenie i odwilż.

— W tym coś jest — krzyczeli zebrani optymistycznie.

Rano rekwizyty po balwanku skrzętnie sprzątnął dozorca. Dzieci znów są kochane!

GAJ i KOT

Sp. z ograniczoną odpowiedzialnością.

ALEKSANDER BŁACHOWSKI CZY TYLKO LEGENDA?

Przydarzyło mi się to gdzieś w pierwszych latach „odkrywania” Bieszczadów, kiedy to samotne wyprawy miały największy urok. Wszystko było do odkrycia. Wracając pewnego dnia z Komańczy, tuż przed zachodem słońca znalazłem się w Zagórzu. Nigdy przedtem nie oglądałem karmeliczkiej warowni, postanowiłem więc tu przenocować. Liczyłem na to, że nikt nie zakłóci spokoju i będę mógł samotnie kontemplować w ciszy i majestacie opuszczonych ruin.

Skręciłem na ścieżkę wspinającą się po stromym stoku i po chwili zza łańcuży wyjrzał mur z ciemnymi szparami strzelnic. Z daleka widać tylko zniszczony kościół i trzeba przyznać, że nie wygląda imponująco ani ciekawie. Lecz już w odległości paruset kroków zaczyna człowieka ogarniać trudny do określenia nastrój tajemnicy, którą kryją zakamarki murów szczybiących się nagimi głazami. Pełne cieni i półcieni otwory i wyrwy wyrzeźbione przez wodę, mróz i wiatry zdają się być szczególnym pismem dla wtajemniczonych. Na nic wszelkie drukowane przewodniki, jeśli nie umie się czytać dziejów ze znaków czasu zostawionych w kamieniach. Posiąść mowę kamieni, to znaleźć klucz do legend.

Owionął mnie chłód bramy, a spod jej łuku ujrzałem osłonecznioną zieleń dziedzińca, jasny masyw kościoła i wysoką trójboczną kolumnę. Na prawo ruiny cel, wirydarza i trudnych do rozpoznania budynków pokrywała płatanna krzaków dzikiego bzu. Znalazłem spodziewaną ciszę. Ostatnie promienie słońca rozjaśniały postrzępioną linię sterczących ze ścian kamieni i cegieł. Nad wzniesioną panowała surowa, mocna fasada świątyni. Gdzieś w dalekim Rzymie Giacomo della Porta zmuszony w wąskiej ulicy osadzić front kościoła Il Gesu, zapoczątkował w 1575 roku styl, który w niezliczonej ilości odmian rozpowszeechnił się na kontynencie Europy i Ameryki Łacińskiej. Tutaj, w Zagórzu rzymska fasada Il Gesu wzniesiona dwieście lat później, znalazła wreszcie przestrzeń i zieleń. Opierając się wichrom, deszczom i śnieżycy od blisko półtora wieku ronił cegły z murszących ścian i w otoczeniu gór i lasów z szumiącą u podnóża po porożach Osławy jest znakiem ludzkiej małości wobec wiecznie trwałej natury. Z małych, wiatrem naniesionych nasion, wyrastają zielska, wciskają korzenie w każdą szparę, każdy załom muru i z typowym dla przyrody brakiem względów wobec dzieł człowieka, rozsadzają potężną niegdyś budowlę. Kamienie zlepił ludzka ręka w mury, baszty i sklepienia, oddzielają się od siebie i bez pośpiechu przyjmują postać zwykłych głazów lgnących do ziemi i pełzających po niej żyjątek.

W rozwalonym portalu ludzie postawili tabliczkę: „Wstęp do kościoła grozi śmiercią lub kalectwem”. Ludzie budowali ten gmach Boga i sobie na chwałę, miał przyciągać wiernych poddanych wojewody Stadnickiego i przekonywać ich o jego potęgę i znaczeniu. Później inni ludzie spalili to wszystko, co nie miało dla nich racji bytu, gdyż przeszkadzało ich chwale, a teraz ludzie nie wiedzą co czynić ze spadkiem po

tamtym i ostrzegają się wzajemnie — uwaga! zginiesz od cegły zrobionej przez człowieka przed dwustu laty dla świętych celów.

Światło prosto z nieba rozjaśnia ściany dawnej świątyni, bo nie ma sklepień ani okien. Misterne wiązania cegieł, do których ściągano mistrzów z dalekiego Krakowa, leżą stertami gruzu na dnie nawy, a u nasady sklepień zielenią się brzoźki, delikatne i zwiewne, a jednak zwycięskie. Zielona wiecha przyrody wieńczącej swoje dzieło zniszczenia.

Na ścianach żywym kolorytem grają obrazy al fresco, które oparły się śłotom i śniegom, dając świadectwo solidnej roboty nieznanego malarza. Iluzjonistyczne sceny barokowe teraz dopiero, po zerwaniu sklepień, odpowiadają ikonograficznym założeniom kontrreformacji, bo obłoki malowane łączą się z chmurami płynącymi łagodnie nad nawą. Tylko Bóg na ścianie prezbiterium nie jest już tak potężny, jak dawniej, gdy człowiek w zamkniętym murami wnętrzu pokornie stawał przed nim w przyćmionym świetle świec. Dziś postać Boga coraz bardziej szarzeje i blaknie pod działaniem promieni słonecznych, którym czas otwiera ściany świątyni. I nie wiadomo, jak długo jeszcze ten malowany Bóg Ojciec będzie istniał, kiedy ostatecznie ludzki twór zostanie pokonany przez naturę.

Jakaś dziura przedostałem się do ruin wirydarza i odchylając krzaki spojrzełem w stronę Osławy. Tu mury wznosiły się prawie na skraju urwiska. W dole rzeka przelewała się po wyslanym skałami korycie, a za dalekim, falującym wzgórzami horyzontem, słońce żegnało ten skrawek ziemi o nieopisanym uroku. Można zgodzić się z Kaczkowskim, że to właśnie miejsce wybrał rycerz Nieczuja na swoje wiecyste leże. Po trudach niespokojnego żywota można tu odpocząć bez znużenia. Wojewoda Stadnicki nie mógł lepiej ulokować warowni broniącej okolicy, stanowiącej równocześnie szpital i dom starców dla wojskowych weteranów. Korzystali z niej później konfederaci i spiskowcy. Tutaj, w gęstym, w murach broniących niedostępną stromizną brzegów Osławy, w otoczeniu dziewiczego krajobrazu łatwo było czuć się silnym i snuć tyle nierealne, co romantyczne plany bitew i zwycięstw.

Podając się nastrojowi tych urok rzucających ruin, nie spojrzęłem, jak zmierzchniętym i łącząc cienie, szybko ustępował nocy. Zachłannie gromadząc pierwsze, niepowtarzalne wrażenia, zapomniałem poszukać miejsca na biwak. Teraz odczułem zmęczenie całodziennego wędrówki. Usiadłem pod trójboczną kolumną i z niechęcią pomyślałem, że trzeba poszukać wody i przygotować posiłek. Chwila odprężenia dobrze mi zrobi — pomyślałem i wygodnie ułożyłem się na murawie.

Wszystko ogarniała zycząca lipcowa noc, z gwiazdami i jasnym sierpem księżyca. Mnie jednak wydawała się niezwykła. Wrażenie, jakie wywarła na mnie ta opuszczona warownia, pogłębiało się w scenarii przedziwnych kształtów, które w ciemności przybierały ruiny. Koś-

ciół, ściany klasztoru i mury obronne wykreślały na tle nieba kontury niespodziewane, pobudzające wyobraźnię. Znikły szczyby, rozwaliska, liszaje zacieków, ukryło się wszystko co było brzydkie, szpecące. Pozostały rzeźbiarskie formy, rozłożone w pełną ściszonej ekspresji kompozycję przestrzenną, godną same-

kie niespodziewane nocne spotkania na szlaku, bez względu na to, co w skutkach mogą przynieść.

Okazało się, że nieznajomy jest malarzem i urządził sobie tutaj samotny plener. Zjedliśmy kolację przy ognisku, w jego świetle rozpiąłem swój namiot, ale nie chciało mi się spać. Usiedliśmy obaj przy

powrotem do służby, obiecał go zwolnić z wojska i uzyskać zgodę ojca na małżeństwo z ukochaną, za cenę, którą tylko diabeł mógł człowiekowi wówczas proponować. Miał pan starosta duże kłopoty z tym klaszturem w Zagórzcu... Po upadku Napoleona, schroniło się tu wielu przeciwników Świętego Przymierza, różnych jakobinów i wręcz wicherzycieli, którzy mogli wywołać jakąś awanturę i zakończyć karierę lojalnego wobec cesarza urzędnika. A marzył się panu staroście wyższy stolec. I ukuł szatański plan pozbycia się zagórskiego gniazda spiskowców, a zaprzęgił do niego zrozpaczonego kochanka, który zniknął już nie widział nadziei dla siebie i dziewczyny.

Szesnastego czerwca 1822 roku zapłonął kościół i klasztor w kilku miejscach na raz i pożaru nie udało się ugasić. Nazajutrz kazał starosta schwycić urlopnika i nocą, w dybach, pod strażą przynieść go do Sanoka. Desperat, pewny, że i tak czeka go piekło za świętokradztwo, oszalały z rozpaczki zabił konwojentów i uciekł. Rano wielki płacz podniósł się w domu rzędniaka — zniknęła jedyna córka, hańbą okrywając imię rodziny.

Odtąd słuch zaginął po oboju, a dalsze ich dzieje znali już tylko śpiący — baskidzcy zbójcy. Dopiero chaos powstania 1848 roku pozwolił im opuścić górskie kryjówki i osiąść wśród ludzi po stronie słowackiej. Ich wnuki wróciły do Galicji przed pierwszą wojną światową. Gdzieś żyją potomkowie człowieka, który rozniecił pożar w Zagórzcu, ale pilnie strzegą tajemnicy swego rodu.

Zaują, że nie zapytałem malarza, jak poznał te dramatyczne dzieje. Wtedy było bardzo późno, nie wypadało nadużywać gościnności i należało pójść spać. A rano... Rano obudziłem się pod kolumną z głową na plecaku, cały pokryty rosą i drżący od chłodu. Wiele razy zastanawiałem się potem, jak to się stało, ale nigdy nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Choć sam mam pewne obiekcje co do prawdziwości mojej przygody, dołączam ją do tajemnic zagórskiej warowni, która powinna mieć wreszcie swoją legendę.



J. SIENKIEWICZ

go Henry Moore'a. Teraz wystarczyło tylko puścić wodzę fantazji. Ba! Żeby to człowiek był poetą, to może by się udało literacką wena wypełnić lukę w historii, która dotąd nie potrafi wyjaśnić przyczyn pożaru klasztoru. Mimo woli zacząłem snuć przypuszczenia na ten temat i zabrnąłem w taki labirynt dociekań, że otrzeźwił mnie dopiero głos, który niespodziewanie zabrzmiął obok.

— Przepraszam bardzo, może panu coś dolega?

— Nie... nic... dziękuję — odpowiedziałem machinalnie, nie wiedząc z kim mam do czynienia na tym pustkowiu.

— Jeszcze raz bardzo przepraszam — głos był młody, delikatny i pobawiony natrętną ciekawością — ale pan leży sam na trawie... chyba nie chce pan tak nocować... bo tu nad ranem jest dość chłodno i rosa... Może jednak w czymś będę mógł pomóc? Też jestem w pewnym sensie turystą.

— Prosiłbym o kubek wody — powiedziałem bez namysłu, bo w tej chwili najsilniej ze wszystkiego odczuwałem pragnienie.

— Proszę bardzo. A może lepiej herbaty? W ogóle, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, zapraszam do siebie. Biwakuję tu niedaleko.

— Bardzo dziękuję, nie chciałem robić kłopotu — certoliłem się dla formy, ale skwapliwie podnosiłem się, bo propozycja gorącej herbaty przemogła, nikłe zresztą, opory, gdyż bardzo lubię ta-

ogniu. Czerwony odbłask pełzając po szczątkach muru przypomniał mi przerwany wątek myśli o przyczynach pożaru klasztoru. Podzieliłem się swymi przypuszczeniami z malarzem, a ten w zamian opowiedział mi historię, którą przytaczam w całości, gdyż jest zupełnie nieznaną, a równie niezwykle co prawdopodobną.

Otóż, wiadomo, jaka to była epoka na początku dziewiętnastego wieku. Romantyzm. Panny z dobrych domów rozczytywały się w romansach. Miłość była najważniejszym uczuciem, godnym największych ofiar. Żył wtedy w Lesku urzędnik starostwa, który miał córkę niezwykle piękności. Marzył dla niej o bogatym mężu, gdyż cały jej posag stanowiło śliczne liczo i wdzięczna figurka. Dziewczyna pokochała jednak chłopca znanego z urody i fantazji, lecz o pustych kieszeniach. Chcąc ratować córkę przed nieszczęściem, dobry ojciec poprosił starostę, by hultaja oddał w rekruty. Sześć lat służył już niefortunny żołtnik w dragonach cesarskiej armii i drugie tyle mu zostało, a panna cierpliwie czekała stając się pośmiewiskiem miasteczka i zakalą rodziny. Gdy dragon przyjechał na urlop i ponowił konkury, biedny urzędniczyna nie wytrzymał. Kazał córce gotować się do klasztoru, a starostę znowu błagał o pomoc.

Pan starosta widząc, że chłopak gotów na wszystko, by tylko uratować się przed

Nowe polskie filmy telewizyjne

Rok ubiegły stał pod znakiem poważnego wzrostu produkcji polskich filmów telewizyjnych, co znajduje swe odbicie w programie. Filmy te pojawiają się coraz częściej na małym ekranie, a w tym roku będzie ich znacznie więcej niż w latach poprzednich.

Przed kilku tygodniami rozpoczęto emisję filmów z cyklu „Opowieści niezwykle”, powstałych w oparciu o utwory klasyków literatury polskiej i obcej. Ostatnio obejrzelśmy w tej serii zabawny film Janusza Majewskiego „Ja gore”, osnuty na opowiadaniu Henryka Rzewuskiego.

Mniej więcej w połowie roku zostanie ukończona, a jesienią zapewne znajdzie się w programie TV, złożona z 12 odcinków seria „Stawka większa niż życie”. Kapitana Klossa grać będzie, oczywiście, Stanisław Mikulski. Scenariusz jest pióra Andrzeja Zbycha; reżyserują Andrzej Konic i Janusz Morgenstern.

Konrad Nałęczki w najbliższych dniach rozpoczyna zdjęcia do dalszych odcinków cieszącej się rekordowym powodzeniem serii „Cztery pancerni i pies” według scenariusza Marii i Janusza Przymanowskich oraz Stanisława Wohla. W rolach głównych wystąpią ci sami aktorzy oraz Wiesław Gołas. Gotowe są scenariusze pierwszych 6 odcinków. Załoga czołgu „Rudy” ukazana będzie podczas walk z hitlerowcami na szlaku bojowym od Gdańska do Berlina.

Pojawi się ponownie na telewizyjnym ekranie w serii opowieści „Profesor Tutka” Gustaw Holoubek. Reżyser Andrzej Kondratiuk kończy właśnie pracę nad 8 dalszymi opowiadaniem Jerzego Szaniawskiego.

Jest już niemal ukończona seria „Hrabina Cosel”, oparta na powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego. Ten pierwszy polski kostiumowo-przygodowy film telewizyjny (trzy jednogodzinne odcinki) zapowiada się — jak można było zorientować się z fragmentów pokazanych w „Klaspie” — bardzo interesująco. W roli tytułowej występuje Jadwiga Barańska, Augusta II zaś gra Mariusz Dmochowski. Dodajmy, że twórca filmu Jerzy Antczak zamierza w przyszłości ekranizować dla TV dwie inne powieści Kraszewskiego z cyklu saskiego: „Bruehla” i „Starostę warszawskiego”.

Obok wersji kinowej „Pana Wołodyjowskiego” reż. Jerzy Hoffman przygotowuje serię telewizyjną tej powieści, zatytułowaną „Przygody Pana Michała” (13 odcinków). Seria ta mieć więc będzie przeszło dwukrotnie dłuższy metraż niż wersją dla kin. Początek zdjęć do cyklu przewidziany jest dopiero po ukończeniu filmu przeznaczanego dla kin, a więc nie wcześniej niż na przełomie roku.

Reż. Krzysztof Zanussi kończy film „Twarzą w twarz” wg własnego scenariusza, poruszający sprawę ludzkiej obojętności, asekuranctwa i bierności. W produkcji znajduje się także film „Kaprysy Łazarza” wg scenariusza Stanisława Grochowiaka, w reż. Janusza Weycherta. Gotowe są scenariusze sztuki kryminalnej, a właściwie kryminalno-obyctajowej, pt. „Kapitan Maliniak”, ukazujące działalność milicji i zawierające bogaty materiał obserwacji społecznych i obyczajowych.

Z myślą o młodych widzach przygotowano scenariusze do serii opartej na powieści Adama Bohdaja „Jeden do zera do przerwy”, której akcja toczy się w Warszawie wśród młodych entuzjastów piłki nożnej. Zatwierdzono także scenariusz innej serii młodzieżowej; bohaterem jest pies milicyjny Bej.

W tym roku zespoły autorów filmowych zrealizują dla TV 42 półgodzinne odcinki filmów fabularnych.

(KT-PAP)

Premiery teatralne

Popularny w kraju z liczy-nych ról filmowych i występów telewizyjnych Ludwik Benoit kreuje czołową rolę w dramacie Gerharta Hauptmanna pt. „Tkacze”. Sztuka ta, napisana w roku 1892 przez wybitnego pisarza niemieckiego, laureata Nagrody Nobla, osnuta jest na autentycznych wydarzeniach, które miały miejsce w Bielawie na Dolnym Śląsku w roku 1844. Bielawscy chałupnicy, doprowadzeni do ostateczności przez niesłychany wyrząsk fabrykantów wszczęli bunt, krwawo stłumiony przez pruską policję i wojsko. Spektakl przygotowany jest przez zespół Teatru Nowego w Łodzi w reżyserii Janusza Kłosińskiego i Wojciecha Pilarzkiego. Warto przy sposobności przypomnieć, że „Tkacze” wystawiła w Łodzi w latach dwudziestych Scena Robotnicza, prowadzona przez Witolda Wandurzkiego.

CAF — ROZMYŚLOWICZ



